BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 21. Niedziela, dnia 12-go października Rok 1913

TAK BLIZKO!

(OBRAZEK Z ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.)

(Ciąg dalszy.)

Przyniesiono mu list z kraju — od Zosi.

Przeczytał go, lecz powoli, nie pochłaniając go już oczami, i zauważył raz pierwszy dopiero, że na nim wycisnął się ślad spoconego paluszka, że zawierał trzy błędy pisowni i że był pisany trochę, jak to mówią, jadąc do nieba.

Następnego dnia, o dziesiątej rano, był już w nowem mieszkaniu i zupełnie urządzony.

Obiad przyniesiono mu o pierwszej — smaczny, wykwintny nawet — zaledwie zaś skończył jeść kilka owoców na wety, weszła pani Kasia i oświadczyła z ukłonem, iż pani zapytuje, czy pan pije czarną kawę.

Staś zwykle pił ją, lecz w kawiarni Remana, gdzie przerzucał pisma polskie i niemieckie, aby wiedzieć, co się na świecie dzieje. Został jednak w domu i poprosił Kasi o ten napój.

Przyniesiono go i przy nim Gazetę narodową, Dziennik i Nową Presę.

Od tego dnia pijał już kawę w domu.

Pięknej swej gospodyni nie widział tydzień cały; słyszał tylko czasem rzewne dźwięki fortepianu i czasem dobiegały do jego pokoiku, wieczorem już późnym, fale metalicznego głosu pani Ludmiły.

W następną niedzielę wdział strój czarny i z bijącem sercem kazał oświadczyć pani Wilczewskiej, iż życzy sobie złożyć jej swoje uszanowanie.

Było około dwunastej. Ponętna wdówka przyjęła go w białym, skromnym, lecz pełnym smaku rannym stroju.

Pyszne czarne włosy miała zupełnie rozpuszczone, u góry tylko związane błękitną wstążką i ozdobione wonnym kwiatkiem heliotropu.

Przyjęto go z miłym, pobłażliwym uśmiechem, podano drobną, białą, czarowną rączkę i starannie wypytywać zaczęto, czy zadowolony z pomieszkania.

Cóż wam powiem dalej?...

Miesiąc nie upłynął jeszcze, a już Stacho, zwyczajem młodego wieku, oddał serce i duszę zaledwie znanej sobie kobiecie.

Nauk swych nie zaniedbywał, to prawda; ale wszystkie wolne od zajęć i lekcyi w mieście chwile przesiadywał na kozetce, w salonie pięknej wdowy, słuchając godzinami jej gry prześlicznej, uroczych Szopena pieśni, które wykonywała na paryzkim fortepianie z wprawą i umiejętnem cieniowaniem.

I dowiedział się, że pieśń, która takie zrobiła na nim wrażenie, była to arya z Halki, transponowana na głos niewieści, słowa zaś włoskie.

Pani Ludmiła, sierota, w czternastym roku życia, za pozwoleniem Rzymu, oddała rękę swemu wujowi, starcowi już, który dał jej swe nazwisko, li tylko aby zapewnić pensyą sierocie i mieć kogoś w domu.

Nie był dla niej nigdy mężem — dobrym ojcem tylko — i umarł po dwóch latach pożycia, zostawiając jej 1500 zlr. emerytury i kapitalik 20000 zlr.

Wdowa więc miała pozycyę niezależną.

Czy i ona kochała Stasia? Bóg to wiedzieć raczy; gdy jednak w oznaczonej, zwykłej nie przyszedł do domu porze, nieraz, mimo sloty i burzy, widać było czarującą jej główkę cochwila w okienku, i niknęła ona wtedy dopiero, gdy na rogu przecznicy ukazała się wyniosła, wdzięczna postać Stasia.

Młoda kobieta, wprost z klasztoru powiedziona do ołtarza, pół roku teraz zaledwie wdowa, rzeczywiście z pierwszym dopiero mężczyzną w bliższym zostawała stosunku Sama jeszcze dziecko prawie, traktując Stasia także protekcyjnie trochę, może być iż bezwiednie uczuła dlań żywsze od przyjaźni uczucie. Że zaś młodzian z początku walczył ze sobą, to mu przyznać należy. Myśl o poczciwej, kochającej go Zosi często błądziła w jego rozpalonej głowie; ale... Zosia była daleko — Zosia wydawała mu się w porównaniu z Ludmiłą czemś tak zwykłem, tak prozaicznem niezmiernie, iż wytłómaczył sobie z czasem, że tam na Śląsku tylko przyjaźń go wiązała.

Zaczął porównywać obie kobiety, a wiemy wszyscy, iż porównanie zawsze prawie zabija uczucie.

Nadto Ludmiła, przywiązując się do swego lokatora, zaczęła być i zalotną trochę.

Stach zaś był młody, niezepsuty zupełnie.

Śnił cudne śląskie góry, cichą rodzinną strzechę u stoku Kozubowej, przy niej piękny dworek Zawrałów i szczebiotkę Zosię, posyłającą mu z za wspólnego płotu szczery swój uśmiech i szczerszy jeszcze pocałunek.

I raz śnił mu się znak Pański przy górskiej drodze, w purpurowych głogach cały, z wiankami nie-

śmiertelników u ramion, a choć niemieckim napisem oszpecony, ale zawsze znak wiary, świadek pożegnania jego z dziewczęciem.

I śniła mu się jeszcze ta przysięga, dana obrączką i pół gwałtem wzięty pocałunek.

Na myśl mu przyszły słowa czcigodnego pasterza cieszyńskiego zboru: „co się z biednem dziewczęciem stanie, mój Stasiu?"

Zaczynały się wakacye. Spakował więc rzeczy i postanowił pojechać do Cieszyna.

Wieczorem poszedł pożegnać Ludmiłę.

Zaczerwieniony, drżący, jąkał się straszliwie.

— Przyszedłem pożegnać panią. Jadę do swoich na Śląsk, a wrócę dopiero za dwa miesiące — wypowiedział jednym tchem, odrazu.

— Do swoich? — powtórzyła wdowa. — Pan jednak mówiłeś, iż zeszłego roku matka pańska umarła.

— Tak, ale mam tam opiekuna, drugiego ojca prawie. Winien mu jestem wszystko.

— Czy tylko jego? — szepnęła czarnooka, patrząc nań uważniej.

— I znajomych trochę; dawno ich nie widziałem.

— I tę jasną blondynkę z niebieskiemi oczami, której fotografia leży u pana na stole, prawda?

Nie umiał kłamać.

— To towarzyszka moich lat dziecinnych...

— Kochana?...

Zawahał się. Cień jakiś przebiegł mu przed oczami. Ludmiła przystąpiła doń i wzięła go za ręce.

— Powiedz pan prawdę! — szepnęła. — Ja nigdy wiele na szczęście nie liczyłam w życiu.

Czuł jej oddech gorący na twarzy; była tak blisko, ale to tak blisko!...

— Kochana, prawda? — powtórzyła czarująca gosposia.

Włosy jej dotykały mu czoła. Pochyliła główkę i raz jeszcze zabrzmiało w wieczornej ciszy:

— Kochana?...

— Nie! — odparł nareszcie.

— Więc pan nie kochasz nikogo?

I rączki jej konwulsyjnie ściskały dłonie młodziana, a krucza główka chyliła się na jego piersi.

. . . .

. . . .

Otóż dlatego Staś nie pojechał już do Cieszyna.

III.

Jak powiedzieliśmy, zgórą lat cztery upłynęło od chwili, gdy Zosia otrzymała słowo od studenta, że z nią się tylko ożeni.

Zastajemy ją... w Opawie, na Raciborskiem przedmieściu, w schludnym, maleńkim dworku, nabytym przez matkę, za cząstkę dziedzictwa po ciotce z Frydka otrzymanego.

Gdy dziewczyna stanowczo odmówiła ręki Lumpenscheidlowi, nędznik, podług umowy z Ciufesem, ogłosił bankructwo, i to tak jasno wykazane, iż nawet biegli, sprawdzając księgi, oszustwa wykryć nie mogli.

Następstwem likwidacyi tartaka było zupełne zniszczenie Zawrały.

Różni wierzyciele, a właściwie jeden tylko, ukryty za podstawionymi, zabrał nietylko orne pola, cegielnię i piękny dom z ogrodami biednego rolnika, ale i wszystkie inwentarze, z których ocalały tylko dwie siwe krówki Zosi, Róża jej ulubiona i drób domowy.

Do licytacyi prócz Niemców i Żydostwa nikt nie stanął wprawdzie, ale i nikt też Zawrale nie podał ręki w potrzebie.

Wszyscy się od niego odsunęli.

Poczciwy bogobojny ludek śląski uważał upadek Zawrały za widoczny palec Boży.

„Dobrze mu tak! pracował zawsze na zgubę kraju, więc wszystko poszło na marne!"

Byli zaś i tacy, co głośno radowali się z tej nędzy.

Jeden tylko senior cieszyńskiego zboru robił co mógł, aby ocalić Zawrałę, a robił to jako chrześcianin, wypełniając słowa Zbawiciela: kto na ciebie kamieniem...

Zabiegi jego jednak były daremne, bo Lumpenscheidel i spółka tak zręcznie wszystko pokierować umieli, iż na pozór i oni niby razem z rolnikiem zostali zrujnowani.

Najsrożej jednak dotknął Zawrałę sam niedoszły zięć jego, zacny p. Lumpenscheidel.

W chwili katastrofy otworzyły się trochę wieśniakowi oczy; zaczął przeczuwać, iż słabostki jego wyzyskano i że pod prawnie zagmatwanem bankructwem, niecne się oszustwo, rozbój prawie kryje.

Zaczęło się tedy od przymówek w piwiarni u Stillera w Cieszynie, a skończyło na wymysłach, obelgach, bójce nieledwie.

— Tak, tak, oszust pan jesteś! oszust i łotr! — wrzeszczał zacietrzewiony włościanin.

Fioletowy z gniewu pan Lumpenscheidel odparł mu na to w swej łamanej polszczyźnie:

— Niech ja być oszusta! no... to oszusta tylko! a wy?...

— Ja, co ja?

— Wy tak nisko upadla, co się wstydzi swoja flasna mofa. Wy na własna rodaka psa powesila! Tfy! ty wstyd!

A na ten ciężki, najbardziej może obwiniający człowieka zarzut nic odpowiedzieć nie można było.

Biedny więc Zawrała, ze spuszczoną głową, pojechał do domu, w którym już tylko miesiąc mu jeszcze pozostawać było dozwolone.

Po drodze wstąpił do karczmy, w której do niedawna jeszcze rej wodził z Zawadnym co wieczór.

W karczmie zebrani rolnicy ani nań spojrzeli, a i przełożony gminy udał, że go nie widzi. Usłyszał tylko rolnik jego słowa:

„Dobrze, że go się choć tym sposobem gmina pozbędzie".

I tak wszędzie, wszystko się od niego odsuwało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak należy pojmować obowiązek?

Człowiek nie żyje wyłącznie dla siebie, ale dla dobra innych i swego własnego. Każdy, czy najbogatszy czy najbiedniejszy, ma do spełnienia pewne obowiązki. Dla jednych życie jest rozkoszą, dla innych udręczeniem. Ale najszczęśliwsi nawet nie żyją dla własnej przyjemności, lub dla swojej sławy.

Jerocle powiada, że każdy z nas jest kołem, okrążonem mnóstwem kół współśrodkowych. Pierwsze koło dotyczy nas samych, rodziców, żony, dzieci. Drugie obejmuje krewnych, przyjaciół; następne współbraci, a ostatnie całą ludzkość.

Obszar obowiązku jest niezmierzony i ogarnia wszystkie warunki życia. Nie mamy wyboru zostania bogatymi lub biednymi, szczęśliwymi lub nieszczęśliwymi, ale powinniśmy spełniać obowiązek, opasujący nas zewsząd. Posłuszeństwo głosowi obowiązku, choćby największą okupione ofiarą, jest treścią istnienia, szczytem obywatelskości. I dziś jak dawniej winniśmy pracować, żyć nadzieją i umierać za świętą sprawę.

Ten wartownik w Pompejach, znaleziony martwym na posterunku, podczas wybuchu Wezuwiusza, który pogrzebał dwa miasta, uczy jak należy spełnić obowiązek. Kiedy inni pierzchali on wytrwał, bo tak mu nakazywała powinność. Postawiony aby pilnował miejsca, wolał postradać życie w siarczanych dymach lawy, niż złamać rozkaz. Pamięć też o nim przetrwała spopielone jego ciało. Potomni z poszanowaniem patrzą podziśdzień na hełm, dzidę i zbroję bohatera, przechowujące się w muzeum neapolitańskiem.

Był to mąż posłuszny i karny i spełnił to, co mu polecono. Posłuszeństwo rodzicom, zwierzchnikowi, krajowi powinno być kamieniem węgielnym wychowania. Wiek dziecinny zacząć powinien od posłuszeństwa. Dojrzałość nas od niego nie uwalnia, posłuszeństwo krępuje nas aż do końca. Obowiązek w najczystszej swojej formie jest tak nakazującym, że obok niego milknie wszelki wzgląd osobisty. Czujemy jego nakaz i spełniamy go, bez myśli o własnem poświęceniu.

„Chcecie zostać wielkimi, mówi św. Augustyn, zacznijcie od tego, abyście byli małymi. Chcecie postawić gmach wielki i wspaniały — myślcie przedewszystkiem o podwalinach pokory. Im wyższy ma być gmach, tem głębsze muszą być jego fundamenty. Skromna pokora jest koroną piękności".

Najszczytniejszy też obowiązek jest ten, który spełniamy w tajemnicy, zdala od oka ludzkiego. Spełniając go, nie mamy na widoku uznania, ale podnosimy się do tego wyższego kodeksu, w którym każdy czyn ludzki ocenia się jako wieczne zobowiązanie względem ludzkości. Złe i nierozważne postępki nasze pomnażają z dniem każdym deficyt, który prędzej lub później ludzkość pokrywać musi ofiarami. Pytacie jak postępować, by podołać obowiązkom? Rzecz bardzo prosta: Przedewszystkiem bądźcie przejęci poczuciem obowiązku względem Boga, potem względem rodziny, współbraci, względem podwładnych i sług, a wreszcie względem ojczyzny, która z swej strony ma względem was zobowiązania.

Życie nasze publiczne może być dobrze znane, ale jest życie, którego nikt nie widzi, życie wewnętrzne duszy i umysłu. Nikt nie ma prawa zabijać w sobie duszy. Kto pielęgnując ją w sobie, uczuł się lepszym, szczęśliwszym, szlachetniejszym, zrobił wszystko, co człowiek zrobić może.

Był człowiek wątłej budowy ciała, który znaczną część czasu swego poświęcał filantropii. Odwiedzał biednych chorych w ich mieszkaniach, przesiadywał u ich łoża, podawał im pokarmy, z wszelaką spieszył pomocą. Przyjaciele jego wyrzucali mu, że postępując w ten sposób, zaniedbuje własne sprawy i wystawia się na niebezpieczeństwo zarażenia chorobą. Wysłuchawszy ich, odpowiedział spokojnie: „O sprawy własne troszczę się przez przywiązanie do żony i dzieci — ale przekonany jestem, że obowiązkiem człowieka względem społeczeństwa, jest mieć staranie i o tych, którzy nie należą do własnej jego rodziny.

Człowiek ten przejęty był na wskroś poczuciem obowiązku. Prawdziwym bowiem dobroczyńcą bliźniego nie ten jest, co pieniądz swój oddaje, ale ten co oddaje sam siebie. Pierwszy zarabia na rozgłos, ale człowiek poświęcający czas swój, siły i duszę, jedna sobie serca. O tamtym mogą pamiętać, o tym zapomnieć, ale dobry przykład jego nie umrze nigdy i w przyszłości wyda owoce.

Czego uczy Pismo święte o wstrzemięźliwości od trunków?

(Dokończenie)

XI. Chrystus Pan przemienia wodę w wino. Wino nie zawsze oznacza jedną i tę samą rzecz, a mianowicie napój upajający. W wielu językach jeden i ten sam wyraz ma różne znaczenia. N. p. gdy mówimy o chlebie, możemy myśleć o chlebie przaśnym i na kwasie, o pszennym lub żytnim. Zwyczajnie mówimy, że pracujemy na chleb, a przecież z zarobionych pieniędzy kupujemy mleko, masło, mięso, owoce, jarzyny i ubranie. W codziennej modlitwie mówimy: *„chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj"*, a rozumiemy przez to wszystko, co nam do życia jest potrzebne. Gdy mówimy o herbacie, możemy mieć na myśli albo suche liście, lub odwar tych liści, służący do picia. Tak samo wyraz „wino" ma różne znaczenia. Mówi się przecież, że na Węgrzech sadzą i uprawiają wino t. zn. szczep, który wydaje smaczne i zdrowe winogrona. Pod winem rozumie się także same grona do jedzenia tak, jak wymłócone żyto nazywa lud chlebem. W krajach, w których przebywał Chrystus Pan do dziś dnia nazywają winem czysty, świeży sok, wyciśnięty z winogron, który piją jak my mleko. Żydzi w dawnych czasach gotowali ten sok, poczem dawał się on przechowywać w naczyniach skórzanych aż do następnego zbioru bez fermentacyi, t. zn. choć stał długo, nie miał własności upajających. I ten sok nazywał się winem, a takie wino było i jest najczęściej używane na wschodzie. Robili oni także jakby marmoladę czyli powidełka z winogron i przechowywali do jedzenia, niekiedy zaś rozpuszczali tę konfiturę winogronową w wodzie i nazywali tę wodę także winem. Marmolada z winogron zwana „winem dla żołądka", służyła za lekarstwo dla chorych. Syrup ten był zaprawio[illegible] niekiedy dla [illegible]pachu i smaku różnemi ziołami. W[illegible]zcie pili oni także wino fermentowane a więc upajające.

Podobnie jak w życiu codziennem, to samo słowo ma różne znaczenia, tak samo ma się rzecz w Piśmie św. z winem. Ale mimo to trudno się pomylić, jakie jest właściwe znaczenie tego słowa w każdym wypadku. I tak Izaak mówi do Jakóba: *„Bóg dał mi obfitość zboża i wina"* i w tem powiedzeniu wino oznacza naturalnie owoc, czyli winogrona. Zboże było plonem pól, a wino plonem winnic, które uprawiano. O takiem winie, w tem znaczeniu mówi Pismo św. jako o błogosławieństwie.

Gdy czytamy: *„I wrócę pojmanie ludu mego Izraelskiego, a będą budować miasta spustoszone i będą sadzić winnice i pić wino ich, i naczynią sadów a będą jeść ich owoce"* wtedy musimy rozumieć przez „wino" świeży sok z winogron, który będą pić jako pożywienie, tak samo jak jeść owoce sadów. I takie wino jest błogosławione.

Ale gdy mowa jest o winie tak, jak w wielu ustępach poprzednio przytoczonych, w połączeniu z grze-

ohem, o winie *„na które nie patrz gdy się rumieni, gdy się rozjaśni w szklanicy barwa jego"* lub jak woła prorok Izajasz: *„Nie będą się zapijać wina z śpiewaniem i gorzkim będzie napój pijącym go"*, to oczywiście może przyjść na myśl tylko wino sfermentowane, a więc upajające, i w tem znaczeniu jest ten trunek zawsze przeklęty.

Jeżeli więc czytamy o pierwszym cudzie Chrystusa Pana w Kanie Galilejskiej, gdzie na weselu zamienił wodę w wino, to możemy być pewni, że było to wino bez alkoholu, bo Pan Bóg, który cud dopuścił, nie byłby dał napoju, który przeklina. Ponieważ Chrystus Pan zamienił sześć stągwi kamiennych, napełnionych wodą w wino, to gdyby owo wino było z alkoholem, byliby się goście weselni popili. Czy w takiem weselu mógł Chrystus Pan brać udział?

XII. Picie umiarkowane. Jest mnóstwo osób, nawet gorliwych katolików, którzy twierdzą, że przeklęte jest tylko pijaństwo, ale picie umiarkowane jest dozwolone. Ale czy możliwe jest oznaczenie granicy umiarkowania?

Gdy Pismo św. daje nam naukę, wedle której mamy postępować, to czyni to jasno, dobitnie i wyraźnie, a rozkazu takiego niepodobna sobie tłumaczyć fałszywie. W całem Piśmie św. nie ma ani jednej wzmianki, polecającej umiarkowane używanie trunków. Taki rozkaz byłby zresztą niewykonalny, bo nie znalazłoby się dwóch ludzi, którzyby się zgodzili na to, co należy rozumieć przez picie umiarkowane. Są ludzie, których upoi jeden kieliszek wódki, podczas gdy wielu innych może wypić po kilka kieliszków i nie być jeszcze pijanymi. Coby więc dla nich było umiarkowaniem, to dla tamtych oznaczałoby pijaństwo.

Cóżbyśmy powiedzieli o kupcu, któryby sprzedając towary, miał miary rozciągliwe, któreby się kurczyły przy mierzeniu na jego korzyść, a na stratę kupujących! Cóżbyśmy powiedzieli o cieśli, używającym przy budowie domu metra elastycznego? Nie wiedzielibyśmy, czy się śmiać z niego, czy litować się nad nim.

Polecenie umiarkowania w piciu, dawałoby ludziom w rękę miarę rozciągliwą i podatną, którą każdy dowolnie mógłby rozciągać.

Umiarkowane używanie trunków często prowadzi do nadużycia, a powodem tego jest natura trunków. Użycie pokarmów bardzo rzadko prowadzi do nadużyć, ale zupełnie inaczej ma się rzecz z trunkami, ponieważ w nich znajduje się alkohol, którego niema w żadnym darze Bożym. Alkohol przyćmiewa wzrok, ludzi i kusi, usidla serce i rozum i wiedzie je do nadużyć. Ponieważ już przy pierwszym kieliszku wąż jadowity wyciąga swe żądło, przeto najpewniejszą rzeczą nie jest umiarkowanie ale zupełna wstrzemięźliwość.

Czy pijak od razu stał się pijakiem? Nie! On był długi czas umiarkowany w piciu, ale dolewał po kropelce i nareszcie został pijakiem.

Lekarze stwierdzili, że i tak zwane umiarkowane picie jest szkodliwe dla zdrowia i gdyby dało się ludność nawrócić do zupełnej wstrzemięźliwości, siły jej, praca i zarobek wzrosłyby co najmniej o trzecią część.

Umiarkowane picie jest złym przykładem; tymczasem Pismo św. wymaga, aby postępowanie nasze było zawsze dobrym przykładem dla bliźnich. Większość pijaków rozpoczęła od naśladowania umiarkowanych. Nie jeden sobie pomyślał: Wojciech jest sumiennym i cierpliwym człowiekiem i choć czasami szklaneczkę wypije, powodzi mu się dobrze i ma szacunek u ludzi. Ja mogę równie postępować jak on, jestem równie silny i mam jednakie prawo do uciechy z życia a więc i ja wypiję kieliszek. Stara się naśladować Wojciecha a kończy na opilstwie!

Pewien starzec, opowiadał, że złożył przysięgę na pełnej wstrzemięźliwości u stóp szubienicy, na której zawisł młody człowiek. Przed wykonaniem wyroku, sędzia wyjął zegarek i rzekł do skazańca: Jeśli masz cokolwiek do powiedzenia, to mów zaraz, bo masz tylko 3 minuty do życia.

Młody człowiek rozpłakał się i rzekł: „Powinienem umrzeć! Miałem jedynego brata i kochałem go serdecznie. Piłem bardzo umiarkowanie, lecz pewnego dnia upiłem się, przyszedłem do domu i wpadłszy w złość, bez przyczyny zabiłem go siekierą. Trunek tylko był tego przyczyną, on przyprowadził mnie do zguby. Tylko jedno zdanie mam do powiedzenia: *„nie tykajcie żadnego trunku, nigdy! nigdy! przenigdy!"*

Dla domu i gospodarstwa.

— Zużytkowanie owoców opadłych z drzew. Mnóstwo owoców spadłych najczęściej marnuje się bezużytecznie, dojrzalsze owoce suszy się, a niedokształcone i niedojrzałe gniją zwykle pod drzewami, o ile w najlepszym razie nie zużyje się ich na nawóz, lub dla nierogacizny.

Tymczasem nawet owoce kwaśne i niedojrzałe można zużyć na wyrób soku i powideł.

Przepis na sok jest następujący: Uzbierawszy koszyk różnych odmian jabłek, myje się je, oczyszcza części napsute przez robactwo, kraje stosownie do wielkości na 2—4 kawałków i gotuje w takiej ilości wody, żeby krajanki dobrze zakrywała. Następnie wylewa się rozgotowaną masę do lnianego worka, ażeby się sok bez wyciskania odcedził. Dodawszy na kwartę (litr) soku ósmą część kilogramu cukru, gotuje się go znowu przez kwadrans i szumuje dokładnie, w końcu ostudzony wlewa do butelek, korkuje, lakuje i przechowuje w chłodnem miejscu.

Powidła z jabłek. Pozostałą w worku masę wysypuje się na sito z włosia i trze drewnianą łyżką tak długo, dopóki masa przez sito przechodzi. Do tej masy dodaje się dowolną ilość cukru i przystawia do ognia, żeby się zagotowała. Ażeby powidła na dłużej można zachować, dodaje się, gdy już nieco ostygły, na 1 kilogram pół grama kwasu salicylowego, wymieszawszy go z powidłami bardzo dokładnie. Następnie napełnia się powidłami słoiki szklane, przepłukane poprzednio roztworem kwasu (na 50 gramów alkoholu lub koniaku, 5 gramów kwasu salicylowego), przykrywa słoik przylegającym dokładnie do jego brzegów kawałkiem białej bibuły, zamoczonej poprzednio we wspomnianym roztworze kwasu salicylowego, a na wierzch daje się papier pergaminowy i obwiązuje słoiki. Tak przyrządzone powidła są dobre do użytku przynajmniej przez rok.

Do pozostałej jeszcze w worku masy można dolać gorącej wody i uzyskać w ten sposób zdrową zupę do natychmiastowego użytku.

Na ten cel najlepsze są owoce jesienne, chociaż nadają się do tego i zimowe, ale dopiero z końcem września lub początku października.

Należy dodać, że im różnorodniejsze odmiany są pomieszane, tem sok i powidła są lepsze.